

Gołębiowski, Stefan

Wilcze doły, "Tygodnik Kulturalny" 15 (722) : [przedruk]

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 25, 60-70

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nie mogła. Nie chciała szerzyć zgorzenia. Kiedy szła przez ulicę, dzieci wołały za nią Jasna Cholera. A przecież to jest wołające o pomstę do nieba przekleństwo.

Nie było innego wyjścia. Sprzedała swój domek ze wszystkimi ruchomościami prawie za bezcen. Tylko z jedną walizką ruszyła w świat.

Wkrótce potem przyszyła pierwsza światowa wojna, a po niej dwadzieścia pięć lat bez wieści i druga światowa. Gorsza od cholery.

O Santapolonia!

WILCZE DOŁY

„Tygodnik Kulturalny”, XV 15 (722)

1

Ze wszystkich dni stworzenia najwięcej wątpliwości budził dzień trzeci. Musiał to być dzień niezbyt dobrze przemyślany i w decyzjach chwiejny. Najlepiej to widać na miejscu ziemi mego urodzenia. Po prawicy same piaski, jak na pustyni, bez wody, a po lewicy rzeka wolno płynąca, jak Styks zarosła, w oparach moczarów i bagien, padół doliny, gdzie woda nie została we właściwy sposób oddzielona od ziemi.

Na piaskach górował nasz wiatrak, pierwszy żywiciel domu i rodziny. Wiatrak od wiatru, wbrew ojcu, który utrzymywał, że powinno być wiatrzak, bo nie wiatr był u jego narodzin, lecz wiatrz. Od niego zaczęło się moje życie i nic dziwnego, że był on olbrzymem opiekuńczym mojego dzieciństwa. Bez względu na to, że ostatecznie zwyciężył wiatr, który się we mnie jeszcze do dziś szamoce.

Tak było po prawicy, od strony ojca, a po lewicy było zgoła inaczej od strony matki. Urodziła się nad wielką wodą i wodzie wierzyła nade wszystko. Ziemia a nawet dom z jego niskimi progami w jej apodyktycznym przekonaniu nie mogły się mierzyć z wysokim progiem rzeki i młynem mojego dziadka.

Ojciec wiatraczny z matką młyńską zawarli związek małżeński i zrozumiała rzecz, że wiatrak, wbrew staraniom ojca, musiał w końcu pójść na zaprzędanie. Przez miłość do żony wpływowej i koło młyńskie bardziej obrotne od skrzydeł wiatracznych.

Dwie godziny drogi, a taka różnica. Ładny mi posag, mawiała matka: ani ziemia, ani woda i jak tu żyć po ludzku. Głowę odwracała i wzruszała ramionami, a ojciec milczał.

Nie było czego bronić, więc matka, żeby sobie ulżyć, jeszcze oliwy dolewała do ognia. Są niby tutaj dwa progi, gdzie im jednak do brudnickiego. Takie sobie nadolniki, w których koła więcej klekocą niż pracują.

Pierwszy pamiętam między Bieluniem a Karszynem, stary starością bezużyteczną. Dach miał mchem zarosły, ściany zmurszałe. Dziury i szpary ziały próchnem szczurzym. Młyn już nie na chodzie, a przecież koło jego jak noc jeszcze się obracało. Wprawiał je w ruch dziadyga młynarz, co mieszkał obok w ruderze, na rozdrożu. Ludzie mówili, że dostał kręcka i bez plusku łopat i szumu koła wodnego zasnąć nie potrafił.

Kopę lat od tamtych czasów minęło, a jeszcze do dziś słyszę kłaskanie kopyt po moście w klawiszach dylów grającym.

Gwiazdy wodą porwane spadają na koło i z pluskiem lecą w dół. Miska księżycy chyboce się, zbiera je i zebrać nie może.

Należał do nocy i był bezużyteczny, chociaż bardzo malowniczy. Żył w nim wszystko, co stare, mimo że na dobrą sprawę już żyć nie powinno. Po prostu straciło sens istnienia.

W nieco lepszym położeniu znajdował się próg na Niecieczy między Bieluniem a Nabłocią. Młyn sprawny i bezkonkurencyjny. Jako dworski mógł wiatrakom łatwo wchodzić w paradę.

Stał w takiej odległości od naszego domu, że turkot jego słycać było nawet przy zamkniętych oknach. Zwłaszcza nocą kołysał do snu i czuwał nad snem. Chociaż sam snu nie uznawał, chyba że z konieczności.

O świcie do turkotu młyna dołączał się turkot wozów, który nas budził. Matka zrywała się i dom stawał na nogi. Ojciec wychodził przed dom i ćmił papierosa. Zaczynała się zwykła krzątania dnia. Jeden turkot ginął w drugim. Przystawał się liczyć. Dopiero o zmierzchu wracały pogodzone ze sobą. Turkot furmanek przemielony odwoził dzień do domów z razową lub pytlową mąką na chleb powszedni.

Matka zamykała okna na noc nie bez westchnienia, na przekór wiatrakowi, który z wiatrami nie zawsze żyje w zgodzie, a bez wiatrów jest do niczego. Nic więc dziwnego, że mówiła do mnie i nie do mnie: Nie masz jak młyn wodny. Miele chłopów nieustannie i odstawia workami i workami.

Przez zamknięte okno wytrzeszczałem oczy na drogę i nie mogłem tego przez dziecinną dosłowność zrozumieć. Wracający z młyna chłopci w zmierzchu wyglądali na pół realnie, lecz zmielonych wcale nie widziałem. Dopiero znacznie później pojąłem. Zresztą niedomówienie ziarna i mąki w rzeczywistości wyrażało coś więcej. Konkurencję wody z wiatrem. Powodzeniu sprzyjało koło młyńskie.

Nie ma jednak nic trwałego pod słońcem i to samo można powiedzieć o powodzeniu zależnym od wyższych czy niższych progów. Zwłaszcza jeśli są to progi niższe. Mogą tak zmaleć, że ich racja istnienia stanie się wątpliwa. Koło młyńskie zastąpiła turbina, lecz i to na wiele się nie przydało. Przy rzece coraz bardziej zamulonej próg stracił rację swojego istnienia. Energia wody jako bezrobotna ustąpiła energii prądu bardziej efektywnej. Bezpłatna opłacanej.

Z wiatrami przeminął wiatrak. Niskie progi rzeczne nie dawały żadnej gwarancji. Ojciec zatem ruszył do wysokiego progu, skąd wywodziła się matka. Dom dzielił na dwoje. Tylko jednokonna bryczka z ojcem łączyła.

Wysoki próg zwyciężył. Do czasu, kiedy w dół pociągnął.

2

Możesz wysoko zejść, jeśli staniesz na wysokim progu rzeczonym, lecz kiedy trafisz na dwa niezbyt odległe od siebie i sobie przeciwne, wtedy pomiędzy nimi możesz wpaść w dół nedorzeczny.

Kiedy miejscowe progi zaczęły tracić na znaczeniu, doły zaczęły coraz bardziej dochodzić do głosu. Nasłuchałem się o nich tyle, że już sam nie wiem, czyim głosem przeze mnie mówią.

Nie ma dołu bez dna. Tak się słyszy i tak się mówi popolicie. A ja tego nie jestem pewien. Może do siódmego trudno trafić, jak do nieba siódmego, ale o trzech wiem niejedno z gminnej opowieści.

Między trzema i dwoma dnami istniał jeszcze dół o jednym dnie ruchomym. Miejsce upatrzone chłopców i w ogóle dzieciarni. Szczególnie w upalne dni, kiedy pod Borkiem piasek i przybrzeżny pas wody były pełne gwary i wesołego plusku. Istniała jednakże granica. Kto poza nią się wysunął i krok podał dalej, łatwo mógł pójść po siekiersku do dna. Wypadki chodziły po dzieciach i dół zyskał miano straconych pociech i straconych nadziei.

Nie było innej rady. Ojcowie zmówili się, nie bez ingerencji matek i dół zasypali piaskiem. Ilość utonięć wyraźnie zmaląa, ale całkiem

nie znikła. Okazało się, że nawet na płytkiej wodzie o wypadek nie-
trudno. Słyszałem na własne uszy, że komu wilczęta kosmatymi łapa-
mi piasek spod nóg rozgrzebią, tego nie ma co już ratować.

Wypadki należały do rzadszych i na długo ludziom nie wystarcza-
ły. Bez porównania bardziej atrakcyjnym okazał się dół dalszy. Dół
o dwóch dnach i wodzie zimnej, choćby w największe gorączki. Jak-
by w drugim dniu znajdowało się źródło, co studziło największe zapa-
ły, zwłaszcza miłosne.

GINĘLI ludzie zaprzędani, zdradzeni, rozdzieleni przez dwie rodzi-
ny wrogie, przez różnice majątkowe, przez panny, którym, nie wiado-
mo po co, do szczęścia było potrzebne serce wzgardzone, przez mło-
dziutkie żony, które przy rodzeniu dziecka umarły, przez małżonki,
które ni z tego, ni z owego mężów przestały uznawać, przez zazdrość
chorobliwą, przez złe języki bigotek i moralistów wątpliwej wartości.

Tych „przez” starczyłoby na całą litanię, a jeszcze nie byłoby koń-
ca. Przecież chodzi o miłość jedyną, z prawdziwych najprawdziwszą.
Zachłanną, pożerającą człowieka jak wilczyca, co pono w tym dole
leży. Wiecznie głodna, w pragnieniach niesyta. Drapieżna.

Od tego dołu, wbrew biegowi rzeki, przez Zębówki do Bielnika
wiedzie płynna droga do dołu o trzech dnach. Drążonych świdrami
wirów, gdzie leje pierwej w łożysku diabli wywiercili. Pod starym ko-
ściołem modrzewiowym, który w tym miejscu podobno się zapadł.

Kto wiarę stracił, kto z wiarą żyje na bakier, kto los swój przeklina,
kto szuka zatracenia, kto niebem wzgardził, ziemię spod stóp ode-
pchnął — w tę stronę łódź swoją kieruje. Wystarczy wyjechać o zmierz-
chu, a już Wilkołap zachyboce czołnem, stracisz chwiejną równowagę
i trafisz do dna trzeciego. Na wieczne zatracenie. Jak mówią wierzący,
żeby potępić niewierzących.

3

Jak wieść gminna niesie, wszystko zaczęło się od Wilczego Ostro-
wia. W czasach niebywale trudnych do faktycznego ustalenia, kiedy
jeszcze panowały wielkie lasy i wilków na wyspie było co niemiara.

Koceń, jako myśliwy, tropił je i tępił w sposób nieubłagany. Miał
serce łowieckie, okrutne i zarazem czułe. Dla istot słabych i szczegól-
nie dla młodej żony, która właśnie chodziła w odmiennym stanie.

Tymczasem przyszła zima nie tyle mroźna, ile śnieżna ponad mia-
rę. Wilki, porzuciwszy Ostrów, stadami ruszyły w głąb lasu na poszu-

kiwanie żeru. Pozostała z konieczności tylko wilczyca, która z powodu małych wilcząt nie mogła za nimi podążyć. Krążyła nad rzeką i ciągnęła za dymem do zabudowań sąsiedniego osiedla.

Przy dole o dwóch dnach przypadkiem trafiła na żonę Koconia. Właśnie wracała od matki, ponieważ dowiedziała się, że wilki porzuciły Ostrów. Chciała mężowi swoim powrotem zgotować niespodziankę. Biegła naprzeciw szczęściu i wpadła w nieszczęście.

Wilczyca, głodem rozjuszona, rzuciła się na bezbronną. Powaliła na ziemię i brzuch jej brzemienny kłami rozdarła. Pastwiła się nad ciałem w okrutnym rozbestwieniu. Ślepia jej zaszyły krwią, więc nie widziała, jak nadbiegł Kocoń, oszalały od grozy i od rozpacz.

Bestię ciosem maczugi ukatrupił i zepchnął do dołu. Oczyma zaświecił w mroku i nagle ujrzął umykające wilczęta. Jak chart pognął za nimi i dognął przy drugim dole. Nie darował. Wszystkie potopił.

Przestał być myśliwym. Uciekł z lasu i związał się z rzeką. Zmajstrował czółno i siecią ryby łowił. Łowił i rzucał do rzeki, jakby rybom wolność odbierał i wolność przywracał.

Krążył między dwoma dolami i szukał trzeciego poza ich zasięgiem, pod prąd wartkiej rzeki. Człębkiem na trzy sążnie szukał dna i w pewnym miejscu do dna nie mógł zgruntować. Przechylił się, stracił równowagę i trafił do dna trzeciego jako Wilkołap.

W ten sposób do legendy przeszły trzy Wilcze Doły: straconej miłości, nadziei i wiary.

4

Prawda i zmyślenie. Nie ma prawdy bez zmyślenia. Bez zmyślenia prawda błąka się między dnami. Pomiedzy jawą i snem. Dopiero z dna wydobyta staje się rzeczywistością. Znaczącą.

Do tej rzeczywistości drugiej, nadprzyrodzonej potęgi, sięgam przez dzieciństwo, gdzie rzeka kłęka i tworzy naturalne kolano dla wzniesienia chaty. Nie żadnej walącej się, lecz w świeżej bieli, jak panna młoda na wydaniu, w welonie mgły porannej z iskrami łez rześzystych w oknach.

Tak wyglądała od frontu chata, do której dwuskrzydłowymi drzwiami szczęście weszło, a jednoskrzydłowymi od rzeki wyszło. Trzecich nie było, chociaż i takie czasem się otwierają, kiedy nie ma innego wyjścia.

Dwoje drzwi dla dwóch braci, tylko nie wiadomo jeszcze, które dla którego. Mieli na imię Piotr i Paweł. Bliźniacy urodzeni w dniu

świętego Piotra i Pawła. Apostoł był rybakiem i jego chrześniak z imienia pozostał rybakiem po ojcu, co razem z matką umarł od morowej zarazy. Paweł do brata podobny jak dwie krople wody, które w gruncie rzeczy nie są do siebie podobne, jakby się na oko wydawało, nie chcąc się z bratem rozstawać, uczestniczył w jego połowach jako niedozowna pomoc.

Nic ich nie dzieliło, a wszystko łączyło, dopóki do domu nie weszła Dorota, Dosią zwana. Piotr ją zdobył przez większą przedsiębiorczość i bardziej zagwarantowany byt materialny.

Dosia stała między braćmi i Paweł znalazł się na drugim planie. Nadal pomagał bratu przy łowieniu ryb i w gospodarstwie domowym, lecz już bez dawnej ochoty. Bratowej ukradkiem sprzyjał, chociaż każdego sam na sam unikał jak ognia.

Dosię takie zachowanie szwagra niepokoiło. Chciała go bez złych intencji zbliżyć do siebie, oswoić. Wszystkie jednak starania okazały się daremne. Nie chciała być natrętna, tym bardziej, że Piotr jej wystarczył. Przez swoją energię, zaradność i miłowanie. Po roku przyszło dziecko na świat i Paweł jeszcze bardziej w cień się odsunął. Do czasu, kiedy Jacuś zaczął chodzić i gaworzyć.

Słysząc go było w całym domu. Wszystkie kącki obiegał. Z każdym rokiem rańniejszy i weselszy. Nawet stryjcio uśmiech dla niego znalazł. Znalazł i coś więcej. Organki. Jacuś przy nich tańczył, aż koszulka w powietrzu fruwała. Dosia patrzyła z zachwytem, a Piotr nie posiadał się z radości. Był u szczytu szczęścia.

Jednak każdy szczyt ma to do siebie, że trudno się na nim dłużej utrzymać. Zwłaszcza przy zachwianej równowadze.

Jacuś przed samą gwiazdką, gdy nadeszły mrozy, ujrzał przez okno ojca, jak do przerębli zapuszcza sieci. Piotr z daleka też synka dostrzegł za szybą. Podniósł dłoń i jakby palcami w powietrzu zagrał. Przywidziało się chłopcu, że tato w ten sposób przywołuje go do siebie.

Wybiegł. Matka za nim. Nie dał się schwytać. Pośliznął się i wpadł do wyrąbanej wody.

Kąpiel grudniowa zrobiła swoje. Dostał zapalenia stawów i z kolkami obrzękłymi długo leżał. Felczer polecił, żeby nóżek za bardzo nie zginał. Kiedy mimo to zaczęły się krzywić, musiał się przez sześć tygodni męczyć z przywiązanymi do deszczulek.

Zapalenie stawów minęło. Nóżki miał rzeczywiście proste. Cóż z tego, kiedy się nie zginały należycie. Jacuś jednak i z takich się cieszył. Na wesołości nie stracił, chociaż to była w oczach rodziców wesołość przez łzy. Serce wprost się krajało patrzeć na synka, co na własnych szczudełkach chodził.

Dosia jeszcze wierzyła w słońce. Brała Jacusia z sobą i upalne popołudnia spędzała na rozpalonym piasku przy zasypanym dole. Bliskość wody i sosnowego lasku niosły, mimo skwaru, podmuchy orzeźwienia.

Jacusia za jego żywość i wesołość, chociaż był laskonogi, dzieci piaseczne bardzo lubiły. Cieszył się wśród nich mirem i miał swoich podkomendnych na każde zawołanie.

Właśnie w tym czasie Piotr się zapisał do straży i syn nie chciał być gorszy. Ogłosił się zuchem małych strażaków i własną drużynę musztrował. Brał wzór od starszych, co ćwiczyli na Jeziorku.

Tymczasem zapłonął na pastwisku ogień chrustem podsycony. Pożar – krzyknął Jacuś i pierwszy ruszył w poprzek przez rzekę. Chłopcy za nim z sikawkami, jakie sporządzili sobie z dzikiego bzu. Biegli na oślep i zgubili po drodze Jacusia, który potknął się i upadł jak długi, ledwie wodą przykryty.

Proste nóżki nie pozwoliły mu się podnieść. Utonął prawie że na oczach matki, która na próżno wśród biegnących dzieci szukała Jacusia. Jedni mówili, że zachłysnął się, inni, że wilczęta chwyciły Jacusia, gdyż był za bardzo wesoły. Mimo kalectwa.

Zucha małych strażaków straż z orkiestrą odprowadziła na cmentarz.

5

Dom w bieli żalobnej zasnuły mgły, oplotły westchnienia pożółkłych łąk. W nadrzecznych więdnących szuwarach majaczyły na pół realne, na pół widmowe płaczki, wierzby pochyle nad wodą.

O zmroku bracia wracali z połowu. Plusk czółna ich zapowiadał, mało co obiecujący. Pracy coraz mniej, a czasu wolnego coraz więcej. Wbrew naturalnemu porządkowi. Praca przynosi ulgę, a czas wolny jak kula u nogi.

Suną długimi cieniami do wspólnej wieszery. Smutnej jak stypa. Nie ma o czym mówić, kiedy nawet kalekie szczęście odeszło. Przy stole trzy miejsca zajęte, a wydaje się, że to czwarte, puste, jest jedynym, które wciąż się liczy. Dosia i Piotr oczyma w tym miejscu się spotykają.

Ukradkiem. Na żonę patrzy spode łba. Surowością twarzy, szorstkością ruchów pozornie odpycha. Dosia w pozycji obronnej. Z głową w załamanych rękach. Twarz Pawła staje się bardziej wymowna, łagodnieje. Piotr patrzy na brata z wyrzutem. Dosia z tłumionym westchnieniem.

Jakże dni niepodobne do nocy. Piotr i Dosia w dnia oddaleniu jeszcze są sobie bliscy. Cóż jednak z tego, kiedy noc ich nie łączy, lecz dzieli. Na drugie dziecko się nie zanosi. Łoże najczęściej stygnie.

Dosia sama sobie nie wierzy. Piotr przestał być Piotrem. Dawnego Piotra widzi w Pawle. Wszak byli do siebie podobni, jak dwie krople wody. Wiadomo bliźniacy. Dosia między nimi. Jakby dotąd do żadnego nie należała i na decyzję zdobyć się nie mogła.

Przyszły roztopy wiosenne. Wody gwałtownie wezbrały. Bracia ruszyli na trudny połów. Piotr łódź popychał w poprzek i powstrzymywał, a Paweł sieć zapuszczał. Piotr tyka wiosła przez przypadek? czy umyślnie? Łódź niebezpiecznie przechylił. Paweł zachwiał się i wpadł do rzeki. Piotr nagle oprzytomniał. Opamiętał się. Bratu pośpieszył na pomoc. Wyłowiony dzwonił zębami. Zanim wrócili, zziął na kość.

Nie obeszło się bez gorączki Podskoczyła wyżej czterdziestu. Coś bredził, majaczył o Piotrze i Dosi, Jacusia przywoływał na pomoc. Potem wdał się kaszel i przyszło zapalenie płuc. Przez dobre trzy tygodnie z łóżka nie wstawał. Dobre, dzięki bratowej, która czuwała gotowa na każde skinienie. Troskliwa, z zachowaniem dystansu. Może przez wzgląd na Piotra, a może sama nie ufała sobie.

Tymczasem nadszedł maj. Paweł z trudem zwał się z łóżka i okno otworzył. Od łąk i od rzeki szedł świeży zapach. Wśród grządek jedyny kwiat barwnej sukienki. Dosia. Nie Dosia, lecz dla niego Dorcia. Słońce wyłaca jej włosy. Jakby spojrzeniem wezwana podnosi głowę i uśmiech, który zakwitł na jej wargach, posyła w jego stronę.

Piotr nadpływa. Dosia twarz odwraca i z uśmiechem idzie ku mężowi. W pół drogi staje. Przecież ten uśmiech nie do niego należy. Mimo to idzie na jego spotkanie prawie że odmieniona. Może chce uspić czujność. Pomaga mężowi przy sieci i po obiedzie rusza z nim na połów. A wieczorem do Piotra mówi łagodnie: Piotruś, kolacja czeka. Czyżby miłość przygasała nowy blask odzyskała?

Paweł wraca do zdrowia. W myślach zamęt. Przez Dosię stał się w domu i poza domem zbyt czyny. Czas pomyśleć o sobie. Rozdzielać

to, co nie da się rozdzielić, nie sposób, więc z humorem zwraca się do bratowej: Ja w tej izbie spać nie mogę. A do brata: Ryb przy Kępie Gołuskiej w bród. Może jaką pannę, Syrenę z rzeki wyłowię. Latem zamieszkać w lesie, a co później będzie, Bóg raczy wiedzieć.

Rozstali się ze zmiennymi uczuciami. Piotr z ledwie ukrytą radością, Paweł z goryczą, a Dosia z udręką. Tym większą, że pozwoliła Pawełkowi odejść bez jednego słowa. Bez najmniejszego protestu.

Dopiero, gdy zostali sami, pojęła, jaki cios ją spotkał. Jak po Jacusiu straciła chęć do życia. Niezdolna do pracy, nawet domowej, kwękała, skarżyła się na bóle głowy, na dolegliwości kobiece. Zamykała w izbie.

Piotr wreszcie pojął, że miłość bez Pawła już nigdy do niego nie wróci, a z Pawłem sytuacja nie do pomyślenia. Mimo wszystko nie był siebie pewien. Chciał ją zmusić do wyznania. Prośbą, groźbą, biciem bez opamiętania. Nic nie pomogło. Nie ma ratunku. Tylko dwa doły. Wybiegł jak szalony.

Zmaltretowana leżała na podłodze może godzinę, może dłużej, kiedy na granicy świadomości usłyszała za oknem: ...dwa doły nie przyjęły. Wilczyca wyrzuciła na brzeg. Martwego.

6

Pawełek wrócił z lasu. Zamieszkał w dawnej izbie z oknami na ogródek, rzekę i łąki podmokłe. Dorcia po przeciwnej stronie panowała w kuchni. Tam też przeniosła łóżko z mężowskiej sypialni. Frontowe okna wieczorami przestały świecić.

Paweł większą część dnia spędzał na rzece. Poza tym krzątał się przy domu i załatwiał sprawunki. Dorcia domu prawie że nie opuszczała. Najwyżej szła do ogródka kwiaty podlać, grządki z chwastów wplewić.

Na oko nic ich nie wiązało. Zaledwie posiłki i rozmowy na błahe tematy, jakby poważne w ogóle nie istniały. Przez dramat rodzinny bliscy sobie, a jednocześnie dalecy jak brzegi przeciwne. O wzajemnym zbliżeniu mowy nie ma. Piotr między nimi. Jakby nie utonął i dalej ryby łowił.

Żyli dniem powszednim, bez myśli o tym, co jutro przyniesie. W żałobie pogrążeni. Zresztą ludzie i tak na nich języki sobie ostrzyli. A to, że Paweł brata okradł, że Dosia mężowi szaleju zadała, że Jacus

to był syn Pawła i dlatego Pan Bóg ich tak pokarał. Wiadomo, złość ludzka nie zna granic. Nawet przez ściany dotrze do uszu. Poznawał ją po łzach Dorci, kiedy wracał na odwieczny do domu. Stawał za krzesłem z tyłu. Dłonią po włosach i ramionach gładził. Nie odpychała, lecz i nie zachęcała. Wdzięczna i zarazem spłoszona. Przecież głodny jesteś. A potem głos od kuchni. Bałamucę, a ryba się przypaliła. Nic to, lubię chrupiącą.

Mimo łez, a może przez łzy, wieczór jeszcze pogodny. Jeden, drugi, trzeci. Wreszcie nadeszły upalne. Paweł po całodziennej pracy, po trudzie i znoju, ledwie włóczył nogami. Stracił apetyt. Tylko zsiadłe mleko zagryzał chlebem razowym. Dobranoc senne i dobranoc z westchnieniem.

Padł na łóżko na pół rozebrany i w jednej chwili zasnął. Twardo jak kamień. Nie słyszał jednej burzy, a tu tymczasem druga nadciągnęła. Rąbnął piorun i niebo rozdarł krzyk Dorci: Jezus Maryja.

Zerwał się, stanął na równe nogi. Buchnął w jedne drzwi, drugie trzasnęły za nim. Dorcia w świetle błyskawic na kolanach w jego stronę wyciąga ramiona co wołają: ratuj! Dopadł do łóżka. Rozdygotaną własnymi opasał. Dorcia tuli się z całą mocą, jakby to była ostatnia deska ratunku. Bez słowa głowy zgodnie opadły na poduszki.

Burza mocami niebieskimi szalała, lecz już nic nie znaczyła, gdyż drugą, potężniejszą w sobie rozpętali.

Nazajutrz Paweł zbudził się z pogodą w oczach, a Dorcia wzburzona, w chmurach, z iskrami błyskawic w oczach: Czemu piorun uderzył w kościół, nie we mnie. Co za potworność. Zhańbiłam siebie i pamięć zmarłego.

W popłochu zmówiła jeden pacierz, drugi. Z klęczek powstała i do kościoła. Dała na mszę i poszła się wyspowiadać. Proboszcz za pokutę przeznaczył, żeby Paweł do końca żałoby i do czasu jej drugiego zamążpójścia z domu się wyprowadził. Zginie pokusa i zgorszenia nie będzie.

Odeszła od krtek nie pokrzepiona. Wszystko, byle nie to.

Od wiary się odwróciła. Sama myśl odsunięcia Pawełka wywołała wręcz odwrotny skutek. Raz już oddalenie przeżyła i nie może sobie wyobrazić drugiego. Musi zawsze być przy niej. I we dnie, i w nocy.

Razem wypłynęli na rzekę, ku zgorszeniu dewotek: Nie głupi, kobitę z sobą wziął. Chłopu pokazuje kolana, żeby mógł więcej ryb ułowić.

Żeby tylko kolana. Pewnie i głębiej sięga, żeby zgruntować do dna. Patrzcie, jaki to ma człebek wielgaśny.

Są poza zasięgiem złych języków. Już do nikogo nie należą i od nikogo nie zależą. Wbrew proboszczowi, bez żadnych zapowiedzi, postanowili z sobą wziąć ślub. Na wieki wieków.

O zmierzchu w gęstym welonie mgły znaleźli się na trzech dnach, gdzie zatopiony modrzewiowy kościół. Dorcia odpasła wzorzystą szarfę od spódnicy i na przemian związali swoje ręce jak stułą. Wilkołap łódź przechylił i tak się znaleźli na kryształowym ślubnym kobiercu. Nocą poświętnik dom ograbił i podpalił. Ogień strzelił w górę, jak gromnica. Dzwon się odezwał.

7

Łódź odwrócona popłynęła w dół rzeki. Do Jacusia i Piotra.

LUSTRO

„Barwy”, nr 8 (48), Rok 5/72

Samotność — lecz cóż po ludziach... Samotność boska czerpana z siedmiu dni stworzenia i poza te dni sięgająca nie-boska. Twórczość nieśmiertelna w dziełach sztuki wbrew pięknu przemijającemu, w którym „**chwilo trwaj**” jest zaprzeczeniem życia.

Jedynie sztuka jest zdolna chwilę tę unieśmiertelnić i w różnych kształtach objawić, lecz, niestety, wbrew życzeniom Pigmaliona bez boskiego: słowo ciałem się stało.

Samotność z rodziny Michała Anioła, który w swoim STWORZENIU łączył niebo z ziemią, jak łączył w imieniu i nazwisku człowieka doczesnego w postaci Michała z natchnionym objawieniem w postaci Anioła.

Kto się zaprzedał tej samotności, zarówno należy do rodziny strąconych aniołów, gotowy wbrew niebu z piekłem paktować, byle siebie w dziele sztuki utrwalić. Przemijającemu przeciwstawić to, co nie przemija.

Samotność boska i faustyczna przewycięża czas ograniczony doczesnością i trudno się jej oprzeć, kiedy człowiekiem owładnie, bo